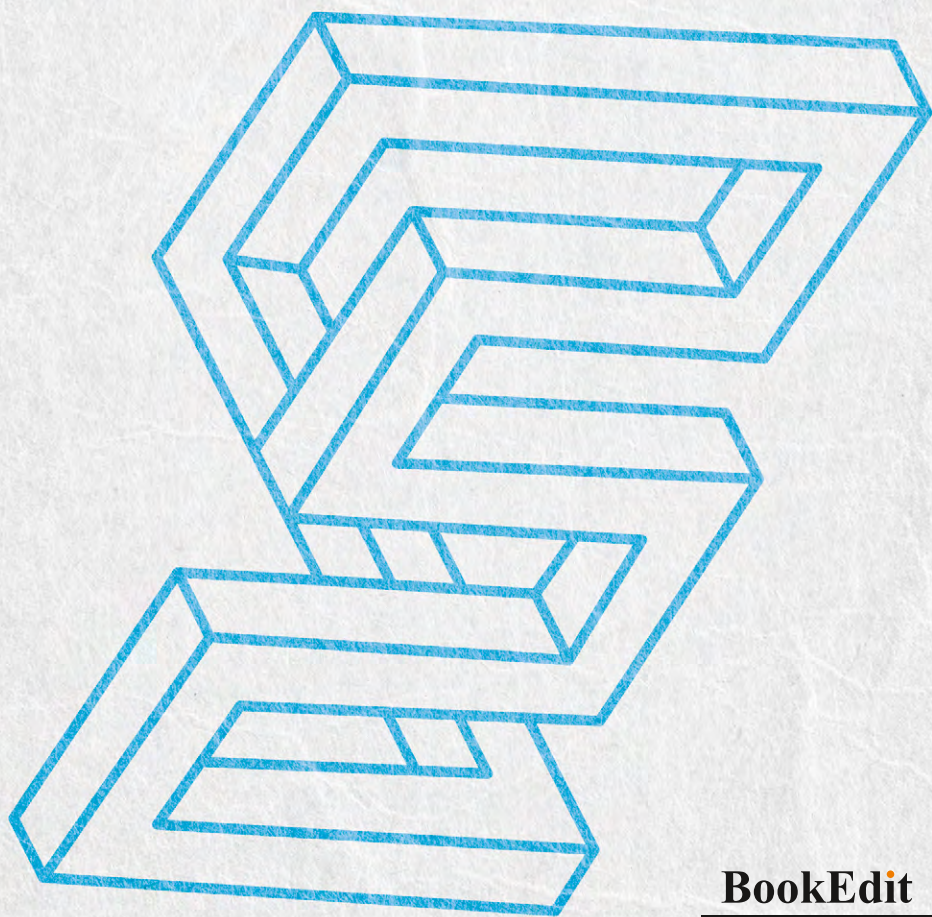


Andrzej Witkowski

SUPER SURPRISE



BookEdit

Copyright © Andrzej Witkowski, 2023

Projekt okładki: Dawid Duszka

Redakcja: Magdalena Ceglarz

Korekta: Erato

e-book: JENA

ISBN 978-83-67539-79-1

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

[Kup książkę](#)

1. TRZECIE PIĘTRO

No i stało się. Stało się! Nie powiem teraz „a nie mówiłam”, bo moje córki i świętej pamięci mąż tego nie znoszą. A nie! Jednak to powiem, na złość. Mąż nie żyje, córki w Australii... A nie mówiłam?!

Wcale nie chciałam schodzić tej niedzieli na dół. Nawet powiedziałam Naninhi, że zostało mi jeszcze trochę *caldo verde*¹ i ciecierzycy z jajkiem na twardo na drugie. Mnie to wystarczy, ile to ja zjem? Tyle, co nic. Kiedyś to było inaczej, kiedyś to się jadło. Jeszcze z Armandem. Hotele w Funchalu, kolacje w Altisie... A teraz? Zadowolę się twardym chlebem od Marii Rity, kilkoma oliwkami i dobrym masłem.

Ale co innego w niedzielę. Niedziela jest dniem świętym, a dzień święty trzeba święcić. Zawsze schodzę na dół, do malutkiej restauracji, którą Rui prowadzi jeszcze od czasów Salazara. Stary, pocziwy Rui... Kiedyś schodziłam codziennie, na śniadanie, i zawsze zamawiałam to samo: *bica*² i *guardanapo*³. A teraz? Teraz piję ziółka, a śniadań nie jem wcale. W moim wieku człowiek je mniej i podobno się kurczy. Może gdybym żyła wystarczająco długo, to zupełnie bym zniknęła?

¹ *Caldo verde* (port.) – dosłownie zielony wywar. Portugalska zupa warzywna.

² *Bica* (port.) – espresso.

³ *Guardanapo* (port.) – ciastko w kształcie złożonej w trójkąt serwetki.

Także schodzę tam raz w tygodniu i bardzo na to czekam, chociaż tej niedzieli akurat chciałam zostać w domu. Był straszny upał, sukienka kleiła mi się do ciała, więc wolałam zjeść trochę arbuza i zasnąć przy wentylatorze aniżeli stroić się i schodzić na sam dół kamienicy.

W niedzielę zawsze wkładam czystą sukienkę, maluję się tak jak jeszcze potrafię, wkładam korale i schodzę na dół. W czwartki Ritinha robi mi manicure i pedicure, także na niedzielę zawsze mam świeżo zrobiony. Kobieta musi dbać o dłonie, zawsze mówiłam to córkom. Ale kto by mnie słuchał? Wątpię, żeby ktoś im robił manicure na stepach Australii. Ale o czym to ja chciałam mówić?

A! O dłoniach. Tak, kobieta musi mieć zadbane dłonie. Nigdy nie zapomnę tego przystojnego Włocha... Chyba Włocha... To było w delegacji Armanda w Turynie. Jak on to ujął? Jak on to powiedział?

– *La signora ha le mani così curati*⁴.

Tak, Włosi to zdecydowanie dżentelmeni, nie to, co Portugalczycy, ci to tylko potrafią gwizdać z budowy, na tym się kończy ich poziom flirtu, mój Boże! Co innego mój Armando, niech mu ziemia lekką będzie. Dobrze, że mi się przypomniało! Muszę zadzwonić do Gudinhi, żeby kupiła kwiaty na grób. Czy ja już jej zapłaciłam za ten miesiąc? Muszę zapytać. Gdzieś to nawet zapisałam, tylko gdzie? A, chyba na lodówce. Od dawna już nie chodzę na groby. Ile to już będzie? Dwa? Nie, trzy lata. Od czasu, jak urodził się Huginho, po prostu przestałam. Piętnaście lat chodziłam, jeździłam tramwajem na Prazeres, potem kawałek na piechotę i już byłam na miejscu. Wszystkie trzy grobowce rodzinne stoją tam obok siebie – rodzice Armanda, sam Armando, a obok jest miejsce dla mnie. Dalej

⁴ *La signora ha le mani così curati* (włos.) – Ma pani bardzo zadbane dłonie.

leżą moje cioteczne kuzynki, które pomarły jeszcze w siedemdziesiątym trzecim. *Meu Deus*, nie doczekały dobrodziejstw wolnego rynku.

Kto tam będzie chodził po mojej śmierci? Przecież nie moje córeczki, co to wpadają do Europy na tour: Paryż, Rzym i czasem zahaczą o Lizbonę, pokazują synom stary świat, robią zakupy, a u mnie są jak po ogień... Szczęście, że mam Guidinhę, cóż ja bym bez niej zrobiła? Grób musi być zadbany, to ważne. A może zapłaciłam jej dwa razy? Mniejsza z tym, przyda jej się.

Ale o czym to ja mówiłam? A! O Armando. Także Armando był dżentelmenem. Pamiętam, jak go poznałam, jego wąsik, jego wykrochmalone kołnierzyki, jego szelmowski uśmiech... To było w barze Astoria, kilka metrów stąd. Tylko kiedy to było? W czterdziestym trzecim? Nie, w czterdziestym drugim. *Meu Deus*. To był mój drugi rok w Lizbonie, znałam kilka ulic w okolicach dzisiejszego pałacyku Cinemateca i parku Eduardo VII, a poza tym nic. Wyglądałam jak podłotek, ale już wtedy wiedziałam, jak ważne są kręgi, w których się obracasz. Zawsze powtarzałam córkom, ale kto by mnie słuchał...

Ale przecież nie o tym chciałam mówić, lecz o niedzieli. W niedzielę zawsze mam zrobiony makijaż i pedicure, chociaż tego drugiego akurat nie widać, no chyba że jest lato i mam odkryte palce u stóp. Jednak staram się nie schodzić w takich butach, bo nasza klatka jest stroma. Zawsze powtarzam na zebraniach *condomínio*⁵, że te schody trzeba wreszcie naprawić, bo stanie się komuś krzywda. No ale teraz tutaj mieszkają głównie młodzi, dziadkowie poumierali szybko po powrocie z kolonii, pewnie nie służył im klimat. A rodzice albo za granicą, albo w Cascais, Estoril

⁵ *Condomínio* (port.) – wspólnota, tu wspólnota mieszkaniowa.

czy w Sintrze, więc młodzież się wprowadziła. Po schodach skaczą jak sarenki, także im to akurat nie przeszkadza, ale ja jestem uparta i w końcu dopnę swego.

Ale o czym to ja mówiłam? A! Co się stało, gdy wracałam w tę dzielę z obiadu. Co oni podali? Na przekąskę był ser z Serra da Estrela⁶, oliwki i chleb. Normalnie biorą za to pieniądze, ale mnie nie liczą. Na drugie było *caldo verde*, jak zawsze niedosolone, a potem baranina z frytkami. Do tego wzięłam karafkę czerwonego wina, potem *bicé* i *mousse de chocolate*⁷.

Wdrapywałam się potem na górę jak kulka i przeklinałam samą siebie, że nie zdecydowaliśmy się na windę w osiemdziesiątym piątym. Były dotacje od miasta, Armando mnie namawiał:

– Zróbmy windę, to potem będziemy mogli drożej sprzedać to mieszkanie i wynieść się nad Ocean, już na stare lata...

Ale ja byłam uparta, nigdy nie chciałam się wyprowadzać z serca Lizbony, a Armando, niech mu ziemia lekką będzie, nie doczekał ani windy, ani wyprowadzki nad Ocean. Wolałam zrobić remont w naszym domku w Alentejo⁸, który Armando zbudował na naszą dwudziestą rocznicę ślubu. Wolałam założyć kanalizację i zrobić łazienkę, zamiast wydawać na windę. Wszystkie sąsiadki zrobiły już remonty i my jako ostatni... Nie mogliśmy zostać w tyle.

Za dużo to wszystko kosztowało. Oboje mieliśmy emerytury, Armando jeszcze dodatek wojskowy z czasów wojny w Angoli, ale mimo wszystko razem to było kilka tysięcy escudów. Na wszystko nie starczało.

⁶ Region w Portugalii.

⁷ *Mousse de chocolate* (port.) – mus czekoladowy.

⁸ Region w Portugalii.

Ale o czym to ja mówiłam? Wdrapywałam się na to przeklęte trzecie piętro i przeklinałam samą siebie, że jednak wolałam remont domku, w którym nie byłam od lat i który dawno został sprzedany i pewnie zamieszkały w nim jaszczurki, niż instalację wynalazku zwanego windą. Nie myślałam wtedy ani o starości, ani o samotności. To był taki ostatni podryg dobrej formy. Mój Boże... Osiemdziesiąty piąty rok...

I stało się. Dochodząc już na drugie piętro, poczułam, że nie mogę złapać oddechu. To pewnie przez ten likier, *Beirão*⁹, na który zaprosił mnie na koniec Rui. Zaprosił to za dużo powiedziane, postawił dwa kieliszki i nalał nam bez słowa, po czym usiadł naprzeciwko mnie i wlepił we mnie te swoje smutne ślepie pocziwego psa. Od razu zapachniało pomarańczami.

– Pusto u was dzisiaj jak na niedzielę – powiedziałam.

– W ogóle jest pusto. Kryzys i ludzie wolą siedzieć przed telewizorem, odgrzać sobie gotowe danie z Mini Preço¹⁰, a my musimy wyrzucać całkiem świeże ryby. Kiedyś trzeba było zarezerwować stolik, a dzisiaj? – ciągnął dalej Rui, a ja delektowałam się pomarańczowym aromatem likieru. – A teraz, nie licząc tych zagubionych turystów, spragnionych autentycznej portugalskiej kuchni, i pani, nie ma nikogo.

Spojrzałam na witrynę przy barze, gdzie na lodzie leżały krwiste kawałki mięsa i świeże ryby przyozdobione pękami pietruszki. Zrobiło mi się żal Ruia. Obiecałam sobie, że zostawię mu dzisiaj podwójny napiwek. Wstał i poszedł szorować podłogę. Zawsze był smutny i jakiś nieobecny.

⁹ *Beirão* (port.) – popularny likier.

¹⁰ Tani portugalski supermarket.

Ale do rzeczy. Zabrakło mi powietrza, to normalne w moim wieku, szczególnie biorąc pod uwagę to, co zjadłam, i ten przeklęty likier. Wcale nie chciałam go pić, miałam już dosyć po winie, które zresztą było jakby zwietrzałe. Oszczędzają. Mój Boże, to normalne. Któż nie oszczędza w dzisiejszych czasach?

Zabrakło mi powietrza. Chciałam złapać się klamki, tej spod dwójki *esquerda*¹¹, ale gałka została w mojej dłoni, no i stało się, padłam jak bela na półpiętro. Wylądowałam dokładnie obok nieczynnej toalety. Dziękowałam Bogu, że teraz był tam składzik na środki czystości, bo nie wytrzymałabym tego smrodu.

Leżałam tak chyba z pół godziny, zanim przyszła Leonor spod czwórki i mnie znalazła. Wracła akurat z mężem i dziewczynkami z obiadu u teściów, którzy mieszkają w Alcântara¹². Ile było krzyków, ile ochów, ile achów, a ja tylko leżałam sobie spokojnie i powiedziałam z poważną miną:

– Chyba mam złamaną rękę.

Jak zawsze w takich sytuacjach, mężczyzna gdzieś zniknął. Jak on miał na imię? A! Antonio. Także Tonio gdzieś zniknął i zostałam sama z jego żoną Leonor i dwójką pięknie ubranych dziewczynek. Leonor stwierdziła, że lepiej mnie nie ruszać i tylko podłożyła mi pod głowę swój kaszmirowy szal przesiąknięty jakimiś słodkimi perfumami. Odpowiedziałam jej uśmiechem, a dziewczynki – zabijcie mnie, ale nie pamiętam, jak miały na imię – patrzyły na mnie podejrzliwie i szeptały coś swojej mamie na ucho. Leonor strofowała je, że to niegrzecznie. *Meu Deus*¹³, za moich czasów dostałyby łanie na miejscu, no cóż. Czasy się zmieniły,

¹¹ *Esquerda* (port.) – lewy/lewa, tu: drzwi znajdujące się po lewej stronie.

¹² Alcântara (port.) – dzielnica w Lizbonie.

¹³ *Meu Deus* (port.) – mój Boże.

Lizbona to już inne miasto i mało ma wspólnego z tą senną metropolią z czasów mojej młodości, gdzie przybijały statki obładowane kawą, przyprawami i jeszcze zielonymi bananami. W dokach czy w okolicach Cais do Sodré¹⁴ naprawdę można było stracić głowę, wystarczyło trochę młodości i odrobina śmiałości. A dzisiaj? Dzisiaj z tych czasów zostały nam tylko magnesiki na lodówkę z napisem *Pensão Amor*¹⁵ czy inne miejsca, które porwał wiatr historii. Teraz za to mamy budki z kanapkami i kawą oraz Padaria Portuguesa¹⁶ na każdym kroku. *Meu Deus*.

W tym mieście spędziłam najpiękniejsze lata mojego życia, tu poznałam Armanda i byłam, do czasu, szczęśliwą matką oraz kochającą żoną. Dzieciństwo w Mozambiku też miło wspominam, ale wtedy byłam jeszcze smarkulą. Do Lizbony przyjechałam jako panienka z małą tekturową walizeczką i jedną sukienką. Mama zmarła, a ojciec został z nową kobietą na fazendzie. Mnie natomiast wysłał do szkoły dla sekretarek w Lizbonie. Czasy się zmieniły, kobieta musi mieć zawód – powtarzał.

Twoja kobieta raczej go nie ma – dodawałam w myślach, bo nigdy bym się nie odważyła postawić ojcu.

Także przyjechałam w czterdziestym roku bez grosza przy duszy i wynajęłam sobie pokoik typu *chambre de bonne*¹⁷ przy Rua Castilho. To była najdroższa dzielnica, ale wolałam się wdrapywać schodami dla służby na szóste piętro, niż mieszkać na przedmieściach. Zawsze mówiłam moim córkom: Nawet jak nie masz pieniędzy to i tak obracaj się w dobrym towarzystwie, w wyższych kręgach, w końcu coś dobrego z tego wyniknie.

¹⁴ Port w Lizbonie.

¹⁵ Stary lizboński dom publiczny.

¹⁶ Sieć portugalskich piekarnio-kawiarni.

¹⁷ *Chambre de bonne* (franc.) – pokój służącej, zazwyczaj usytuowany w mansardzie.

W moim przypadku tak było. W czterdziestym drugim spędzałam większość wieczorów w barze Astoria nad szklanką wrzątku albo w lepsze dni nad *chá carioca*¹⁸. Kiedy go spotkałam, bawił akurat z kolegami w Club Naval de Cascais¹⁹ i w drodze powrotnej wpadli do Astorii. Młody, opalony, z nieodłącznym papierosem. Pamiętam go jak dzisiaj, jego białą kamizelkę, jego opalone dłonie, sygnet rodziny Bragança de Souza Melo. Tego nazwiska nigdy nie przyjęłam, bo pomimo biedy moje było lepsze. Nasza rodzina wywodziła się w krętej linii od księżnej Amelii de Orleans. Takie rzeczy dzieją się tylko w Portugalii. Ale nie o tym chciałam mówić, tylko o Armandzie. Od razu wpadłam mu w oko. Miałam na sobie beżową sukienkę w malutkie brązowe romby, uszytą jeszcze przez moją świętej pamięci matkę.

Kilka dni później ponownie mieliśmy się spotkać. Od razu rozpoznałam go w tłumie innych mężczyzn i wtedy poczułam, że to ten. Kiedy mnie zobaczył, zostawił kolegów i podszedł do mnie. Siedziałam akurat nad małym kieliszkiem sherry. Co za szczęście, że nie nad wrzątkiem! Podszedł, otworzył papierośnicę, zapaliłam z nim pierwszego papierosa i już wiedziałam, że mu się nie wyrwę. *Meu Deus*.

A teraz? Od dziesięciu lat jestem praktycznie uwięziona na tym trzecim piętrze i mój jedyny kontakt z rzeczywistością, nie licząc pedicurzystki i Naninhi, która zajmuje się domem w tygodniu, to te niedzielne zejścia na obiad. Cóż, jakże feralne dla mnie w skutkach.

Także leżę teraz i ani sama na obiad nie pójde, ani się nie umaluję, nie mówiąc już o umyciu się. Cóż ja bym zrobiła bez mojej biednej Naninhi?

¹⁸ *Chá carioca* (port.) – skórka cytryny zalana wrzątkiem.

¹⁹ Przystań żeglarska w Cascais.

Przychodzi teraz codziennie, dba o mnie, myje mnie wilgotną ściereczką i gotuje mi te swoje potrawy z Zielonego Przylądka, trochę za mocno podlane oliwą, ale cóż. Sama sobie nie zrobię. Zaproponowałam jej nawet, żeby zajęła pokoić przy kuchni, ma tam osobne wejście, nie budziłaby mnie, jakby chciała wyjść na miasto. Nie zdecydowała się jednak, podobno wrócił do niej mąż. Ciekawe na jak długo?

Mnie te jej potrawy nie smakują, wolę nasze dania. Jak mięso, to ziemniaki smażone albo frytki, jak ryba, to gotowana. Na mięso zawsze kładzie się jajko sadzone, a obok odrobinę sałaty. Oliwę stawia się na stole obok soli, octu i białego pieprzu, tak jak to powinno być w portugalskim domu, nie zalewa się całego talerza. Ale cóż ta biedna Naninha mi robi? Te swoje szarpane dorsze? Ależ oni tego nie umieją przyrządzać. *Meu Deus*, no nie potrafią. Przecież wszystkiego się od nas nauczyli, chociaż nie do końca się przykładali... Oj, nie do końca. Dobrze, że sama gotuje ziemniaki. Jem głównie je, a całe płyty dorsza oddaje Ziggiemu, jej pieskowi, któremu pozwoliłam nam towarzyszyć. Czasami robi mi trochę ciecierzycy z jajkiem na twardo, sałatę i sardynki z rusztu. To jeszcze jej jako tako wychodzi, ale znowu wszystko musi zalać oliwą. Mówiłam jej:

– Niech Naninha tak nie leje tej oliwy, bo mi potem na wątrobie leży, delikatnie, ja sama sobie poleję. Niech Naninha ma litość dla mojej starej wątroby!

– Kiedy pani ma takiego słabe dłonie, że boję się, by ta butelka z nich nie wypadła. Ja poleję.

Takie są nasze rozmowy, *Meu Deus*. Nic nie poradzę, już taki mój los, jak jest się starym, to człowiek przestaje decydować o sobie i staje się ponownie dzieckiem.

Aaa... Muszę ją potem prosić o rumianek, żeby to jakoś strawić.

Teraz jej więcej płacę, ale to nie szkodzi, cóż ja mam robić z pieniędzmi? Przecież i tak nic sobie nie kupuję, nie licząc tych kilku sukienek, pary pantofli i kapelusza dwa razy w roku, które i tak jej potem oddam, robiąc porządki w szafie.

Co mnie jednak martwi, to to, że od kilku dni nie było ani Naninhi, ani Ritinhi. Od wczoraj też nie ma prądu, a dzisiaj rano z kranu poleciała brązowa woda. Siedzę tak w ciemnościach, piję wodę po kropelce i wspominam. Zastanawiam się, czy rzeczywiście się skurczyłam od czasów mojej młodości? Niektóre sukienki już na mnie wiszą, a stopa gubi się w pantoflach...

Armando zaraz by zadzwonił do wodociągów, zrobiłby rwetes, wziąłby sprawę w swoje ręce. Mnie już nie zależy. Czasami wydaje mi się, że widzę czubek jego głowy z siwą już czupryną, jak siedzi w swoim fotelu i przegląda „Diário da tarde”²⁰. Mam ochotę podejść i poczochnąć go po tej pięknej głowie, ale boję się, że wtedy zniknie i zostanę już zupełnie sama.

Po południu mam trochę więcej siły i jestem w stanie dojść do baraku w salonie. Popołudnia smakują winem z Porto, słodkim i gęstym jak krew. Po chwili zasypiam, coś mi się śni i znowu gram w ruletkę w Kasynie w Funchal. Budzę się, otwieram jedno oko, żeby je zaraz zamknąć i znowu być tą małą dziewczynką, która jeździ rowerem przez plantację bananów w Mozambiku, a za mną ciągną się tumany czerwonego kurzu.

²⁰ „Diário da tarde” (port.) – dziennik popołudniowy.

2. PESTKI

Dawno już wyschły liście w filiżankach po herbacie, a ja siedziałem w fotelu, obgryzając pestki brzoskwini. Jedna za drugą lądowały potem na stosie gazet, wyschnięte i zupełnie łyse. W tym roku mocno obrodziły i K przywiózł mi cały kosz. Te na dnie były już prawie zupełnie zgniłe. Nie mogłem się jakoś zebrać z porządkami w tym roku. Była jesień, a mieszkanie przypominało melinę. I jeszcze te zgniłe brzoskwinie... Salon pachniał słodko jakby mieszkanką parującej ziemi i zatęchłych liści.

Potem były kolejne dni naznaczone powtarzalną pracą, a popołudnia miały smak obgryzanych pestek. Jesienny letarg był przeplatany nagłymi zrywami energii, kiedy to brałem się za przemeblowanie salonu i rysowałem parkiet ciężkimi meblami. Sąsiadka z dołu waliła laską w sufit i jak za dotknięciem różdżki odbierała mi w ten sposób cały zapach. Lądowałem wtedy po raz kolejny w fotelu, wciąż obgryzając pestki brzoskwini niczym niemowlę ulubiony smoczek. Nie czytałem, nie planowałem, nie myślałem. Siedziałem w letargu, obserwując liście drzew przed domem, które układały się w różnorakie konstelacje. Nie miałem nikogo, kto by mnie wytrącił z tego stanu. K był daleko, aż w Gisors – wiadomo, znowu obrodziły. Nie miałem też psa, który zaciągnąłby mnie na jesienny spacer.

Wszystko zaczęło się od tego malutkiego targu staroci między Rue Colibri a Rue Merchant. Dawno tam nie bywałem, chyba od czasów studenckich, kiedy to jedyne, na co mogłem sobie pozwolić, to zatłuszczone książki od bukinistów, kanapkę z metką z Bulon i jakaś skromna bransoletka z Bobigny. Ale to w te lepsze dni, po wypłacie stypendium, które odbierałem w równie zatłuszczonej kopercie, co książki, które potem za nie kupowałem.

Czasami dostawałem prezenty od losu, które same wypadały z książek od bukinistów – zasuszona koniczyna, stare bilety do metra, a raz nawet zdjęcie. Tak, czarno-białe zdjęcie mężczyzny siedzącego w skromnej kuchni. Na ścianach ułożone były białe kafle jak w szpitalu albo jak biała łuska jakiegoś węża. Na stole było widać małą piramidkę, ni to z kości, ni to z klocków. Trudno było się dopatrzeć. Włożyłem je za szybkę w kredensie w kuchni obok pocztówek z wakacji i spoglądało na mnie już od porannej kawy.

Na taką kuchnię mówiłem sobie w myślach „pałacowa”, istne laboratorium do przyrządzania potraw. Każdą zabrudzoną ścianę można było przetrzeć mokrą szmatką i pozbyć się brudu, nie to, co u mnie – kolorowe ściany i pasek kafli nad przedpotopowym zlewozmywakiem z jednym kurkiem z lodowatą wodą.

Ale wracając do kuchni, był tam stół, krzesło i on. Siedział tyłem, nie widać było ani twarzy, ani profilu, tylko lekko kręcone włosy. Rude, brązowe? Trudno powiedzieć, na pewno jasne. Zdjęcie było czarno-białe i wyglądało jak okładka amerykańskiej powieści z lat sześćdziesiątych.

W zeszły wtorek, po obiedzie z Marie, lekko senny po likierze ściętym mocną nuazetką, przyturlałem się znowu do Bobigny. Po sennej nitce, na rauszu, szedłem w kierunku mojej młodości i lat spędzonych

w tych okolicach. Na tej ulicy, pod tym parasolem siedziałem godzinami nad lampką *Pastis* i snułem plany podróży albo prowadziłem filozoficzne dysputy. Tu zawsze można było wpaść i kogoś spotkać, wszyscy mieli czas, żeby przesiadywać godzinami na kawiarnianym słońcu.

Po kwadransie stałem już przed kutą bramą prowadzącą na małe paryskie podwórko. To tu. O dziwo, wciąż działało. Ci sami starzy sprzedawcy, ta sama Portugalka, która sprzedawała mi hebanową figurkę hipopotama, ta bransoletka z czarną perłą, dawno zgubioną w okolicach Place de Clichy podczas jednej z moich nocnych eskapad.

Wtedy go zobaczyłem. Leżał na małym stoliku obok kilku kolorowych bransolet i afrykańskich masek z prawdziwymi włosami. Pewnie należały kiedyś do jakiejś oryginalnej *pieniuarki*.

Zapłaciłem trochę więcej, niż był wart, zdradziło mnie moje spojrzenie. Przetarłem go wilgotną chusteczką, którą zawsze mam w torbie, i od razu włożyłem na palec serdeczny.

Tego dnia nie zdarzyło się już nic godnego zapamiętania. K pracował do późna, a ja przeglądałem jakieś stare papiery. Ciężar pierścienia sprawiał mi przyjemność i czułem się trochę jak jakaś archaiczna sekretarka biurowa, która ma bardzo dużo papierów do segregowania.

– Jeszcze tyle tych papierów do segregowania!

– Co tam mówisz pod nosem?

– A nic, nic.

Potem K przygotował kolację, chyba wyczuł mój stan i chciał mi poprawić humor. Zrobił cielęcinę w sosie musztardowym z purée i szparagami. Moje ulubione danie. Zjedliśmy je przy kominku, w którym paliła się cała piramidka pestek brzoskwini. Siedzieliśmy jak zahipnotyzowani i obstawialiśmy, z której strony zacznie się walić ta skomplikowana konstrukcja.

W nocy pojawił się po raz pierwszy. Między trzecią a czwartą rano zazwyczaj udaje się do toalety. Moje mieszkanie wydaje się wtedy zupełnie zaskoczone moją obecnością, zdaje się żyć własnym życiem, w końcu go nie ma. Mówi do siebie: nareszcie jest chwila spokoju! Nikt nie przestawia mebli ani nie rysuje naszego drogiego parkietu. Siadam na toalecie, żeby nie obudzić K, i sikam w półśnie. Potem idę do kuchni, żeby jak to się teraz modnie mówi, uzupełnić płyny. I tam siedział on, tyłem do mnie, w jakiejś jasnej koszuli i nie mówił nic. Czułem, że coraz mocniej chcę zobaczyć jego twarz i zapytać go o to, co się wtedy tak naprawdę wydarzyło. Im bardziej się do niego zbliżałem, tym bardziej oślepiało mnie bijące od niego światło.

Na drugi dzień wstałem z bólem głowy. K zaproponował mi kawę, mówiąc, że ból głowy zaraz mi przejdzie.

– To ciśnienie, dobrzy by ci zrobiło trochę pracy fizycznej.

– Przy brzoskwiniach?

– Niekoniecznie, ale z drugiej strony, czemu nie? Wiesz, jak obrodziły w tym roku, gałęzie uginają się pod ciężarem dojrzałych owoców.

Spojrzał na mnie, ale mój wyraz twarzy mówił wszystko, rozumieliśmy się bez słów. Po chwili dodał zrezygnowany:

– Mógłbyś raz pojechać ze mną.

– Mógłbym, to prawda, mógłbym.

W końcu się przemogłem i pojechałem na wieś. Zatrzymałem się po drodze w Cooperative, kupiłem butelkę regionalnego wina i kilka słowiczków z tutejszymi specjałami: orzeszki zatopione w ziołowym maśle i oliwki z czarnym czosnkiem. Chciałem zrobić niespodziankę K. Zastałem go w polu przy zbiorach. W pierwszej chwili mnie nie poznał, ale potem pomachał mi ręką i poszliśmy do domu. Dawno tu nie byłem

i coś mnie uderzyło, jak wszedłem do tej wiejskiej kuchni całej pokrytej białymi kafelkami popękanymi w delikatną pajęczynkę.

Siedział tam chłopak z sąsiedztwa, który zręcznie wrzucał brzoskwinie do drylownicy. Coś mnie tknęło. To przecież było tu! To ta kuchnia ze snu i ze zdjęcia... Żałowałem, że nie zabrałem go ze sobą, zostało wetknięte za szybą kredensu. Wtedy chłopak wstał, uśmiechnął się i przywitał, proponując szklaneczkę wermutu. Na jego palcu zobaczyłem identyczny pierścionek, jaki miałem na palcu serdecznym – srebrną obrączkę z łożką hebanu.

Po powrocie nastąpiły podobne do siebie dni przeplatane pracą i monotonią popołudnia. Po pracy spędzałem czas na porządkach. Dzisiaj wyjąłem z szafki wszystkie przyprawy i przesypałem je do porcelanowych pojemników z napisami kurkuma, zioło angielskie i majeranek. Kilka torebek było już zupełnie przeterminowanych i załęgły się w nich jakieś robaki, więc wrzuciłem je do kominka i patrzyłem, jak palą się obok stosu pestek. Zapach przypraw mnie zahipnotyzował, kichałem jak opętany, ale sprawiało mi to nieziemską przyjemność. Potem zasnąłem w fotelu przed tłącym się jeszcze ogniem. Wtedy zobaczyłem go jeszcze raz, stał do mnie tyłem i trzymał w ręku pełne torby brzoskwiń. Mówił dobrze znanym mi głosem K:

– Bardzo w tym roku obrodziły, może zrobisz konfitury albo dżem? Szkoda, żeby cały mój wysiłek poszedł na marne...

W nocy znowu wstałem, żeby pójść do toalety i zgubiłem się w zagmatwaniu mojego mieszkania. Obudziłem się nagle, kiedy zatrzasnęły się za mną drewniane drzwi z mosiężną klamką. Prowadzony senną wizją zszedłem do piwnicy. Udało mi się otworzyć zardzewiały rygiel, który prawie rozpadł mi się w dłoni.